

Światłość i radość

Właśnie w Karpaczu, w cudownym domu i w ogrodzie pani Luizy, miałem wrażenie, że żyję gdzieś w roku 1912; jeszcze nie wybuchła pierwsza wojna światowa, natomiast na zewnątrz za płotem jest rok 1970, 1980 czy 1990.

Otóż w 1973 roku byłem tam trzeci rok z rzędu. Oczywiście chodziłem na spacer po górach. Był to koniec kwietnia, zaczynała się wiosna, ale pogoda była bardzo piękna: gdy tam wówczas przyjechałem, to leżały jeszcze resztki śniegu, a kiedy wyjeżdżałem w czerwcu, już w ogrodzie kwitły róże. Poszedłem na spacer na Przełęcz Okraj w piękny, pogodny dzień z minimalną ilością chmur. Kiedy wracałem, nagle stwierdziłem, że nie tylko otacza mnie szczególne światło, lecz także rodzaj światła wewnętrznego, które wydobywa się ze mnie na zewnątrz. Miałem poczucie, że światło bije ze mnie. Temu poczuciu towarzyszyło uczucie radości; radości tak intensywnej, jaką często miewamy, gdy otrzymujemy bardzo dobrą wiadomość, czy wspaniały prezent. Najlepiej znają to dzieci, zresztą i my, dorośli, czasami odczuwamy radość taką, że aż momentami tracimy oddech. Otóż to uczucie i ten efekt świetlny towarzyszyły mi również po powrocie do domu i przez kilka następnych dni. Pojechałem także – pamiętajmy, że były to czasy komunistyczne i było gospodarczo coraz gorzej – do Jeleniej Góry, żeby w większym mieście dokonać pewnych zakupów. Zdarzało się wtedy, że ludzie ustępowali mi miejsca w kolejkach, a przecież wiemy, że u nas nikomu nie ustępuje się miejsca w kolejce po żywność. Miałem więc poczucie, że ludzie jakby czuli to światło, tyle, że nie zdawali sobie sprawy, o co właściwie tu chodzi. Dopiero po rozmowie z Robertem Walterem, kiedy wróciłem do Warszawy, i po pewnych dodatkowych studiach czy lekturach mogę stwierdzić, że było to wejście w świat eteryczny, jak jest to nazywane w ezoteryce, które trwało parę dni. Analo-

giczne doświadczenia spotkałem, już po latach, u lekarza kanadyjskiego Richarda Bucke'a, który miał podobne przeżycie i je opisał (*Cosmic Consciousness*), a także przeanalizował, tzn. wyróżnił w nim szereg czynników – przede wszystkim dwa główne: światło i radość.

I był jeszcze jeden skutek tego doświadczenia; nie od razu w 1973 roku, a po dwóch latach, kiedy znalazłem się ponownie we Francji – był to rok 1975. Byłem po raz drugi w Montségur i również poszedłem w góry, na bardzo długi spacer; była to zima, ale zima tamtego rejonu: jeszcze sporo zieleni, piękna pogoda, stosunkowo ciepło. Poszedłem na Mont Bidort, żeby obejrzeć jaskinię, w której jakoby w XIII wieku ukrywali się katarzy. Dotarłem tam i potem postanowiłem nie wracać już drogą, którą doszedłem, tylko zejść bardzo stromym zejściem w lesie w kierunku na Montségur. O ile to przeżycie w Karpaczu można nazwać przeżyciem światłości, o tyle to pirenejskie przeżycie było połączeniem światłości z akcentem na barwie: było to *bycie przesyconym barwą*. Po tym drugim doświadczeniu w 1975 roku najpierw powstał rodzaj zapisu, dziennika pobytu w Montségur, z pierwszego okresu grudnia. A po powrocie do Polski w lutym 1976 roku w rezultacie tych doświadczeń – tego wcześniejszego, jak i tego późniejszego – zacząłem odczuwać czasami nawet rodzaj przymusu, bardzo silną potrzebę zapisywania pewnych olśnień światopoglądowych, które pojawiały się w bardzo zgęszczonej i intensywnej formie, praktycznie biorąc przez 6–7 lat. Zapisywałem je z myślą o sobie – i jakby tylko dla siebie – jako rodzaj relacji z procesem powstawania mojego światopoglądu. Były tam zarówno olśnienia czy inspiracje, jak i na przykład uwagi na marginesie jakichś lektur aktualnie czytanych, przeżyć, czy doświadczeń, spotkań z ludźmi itd. Zapiski te obejmują mniej więcej 30 grubych zeszytów. Domyślamy się, że w tamtych czasach nie było możliwości ujawnienia tego w formie jakichś publikacji. Ani katolików, ani marksistów – monopolistów wydawniczych – w tamtych cza-

sach nie mogło to interesować. Od razu wyprzedzająco powiem, że ponad rok temu, tzn. pod koniec 2002 roku, kiedy jeden z moich przyjaciół – Andrzej Szymański – właśnie założył wydawnictwo Dom na Wsi (wraz z żoną Martą Szydłowską) i zapytał mnie, czy nie mam dla niego jakichś propozycji, pomyślałem, że oto nadszedł właściwy czas dla mojego dzieła i posłałem mu pierwszy zeszyt, 111 stron maszynopisu; ten znalazł u niego akceptację i uznanie, i oto we wrześniu 2003 roku będziemy mogli zobaczyć ten pierwszy tom (*Światłość i Radość* ukazała się w roku 2004). Czy da się znaleźć wydawców do wydania tomów następných, to się oczywiście z czasem okaże. Tak przedstawia się sprawa największego wydarzenia duchowego, jakie miałem w życiu.

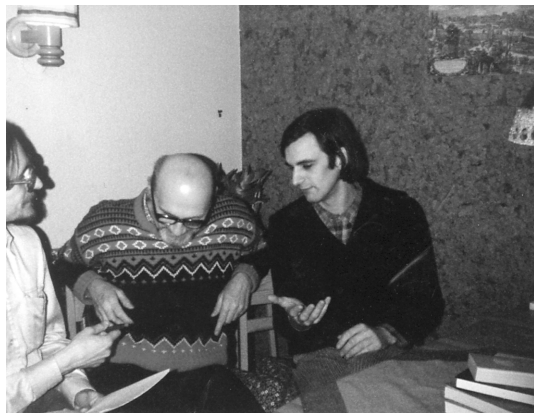
Mógłbym też wspomnieć na prawach małego apendyksu, że mniej więcej na przełomie 1949 i 1950 roku, najpierw w Gliwicach, a potem już w Warszawie, miałem innego rodzaju doświadczenia. Było to *sui generis* doświadczenie eksterioryzacji, starszy termin, bo dzisiaj się mówi *out-of-the-body experience*. Jest to opuszczenie ciała przez podmiot, potocznie – duszę, i jakaś forma wędrowania w świecie. Za pierwszym razem było to w Gliwicach (mieszkaliśmy przy ulicy Ziębiej): mój pokój miał dwa okna. Poszedłem spać któregoś wieczora, po czym odzyskałem świadomość, jakby stojąc przy swoim ciele fizycznym, które leżało na łóżku pogrążone we śnie. W tym momencie uzmysłowiłem sobie, że jestem poza ciałem, ale zadałem sobie pytanie, czy jestem w innym ciele, bo, jak wiadomo, podmiot może przybrać ciało subtelne, w tym wypadku astralne, albo może być tylko punktem świadomości. Spojrzałem w dół – i niczego nie zobaczyłem. I w tym momencie nastąpił atak lęku; doświadczenie to wówczas było mi obce, łączyło się to przekonaniem, że wróciłem skądś, że wędrowałem po mieście. Straciłem więc przytomność, znalazłem się ponownie w ciele, tyle że sparaliżowany; nagle jednak uzmysłowiłem sobie możliwość poruszenia jakąś jedną kończyną, palcem u nogi, i w tym momencie wróciło mi panowanie nad ciałem.

Drugie doświadczenie – powiedziałbym, że miało większą klasę – spotkało mnie w Warszawie; teraz również znalazłem się w Kosmosie. Widziałem Ziemię – to był rok 1950, jeszcze nie latały sputniki – znalazłem się poza Ziemią, widziałem ją taką, jaką później mogłem oglądać na fotografiach zrobionych przez astronautów i kosmonautów. Tu lęk pojawił się natychmiast. Lęk, jak wiemy, odgrywa tutaj rolę pewnego narzędzia przepędzania intruzów ze świata astralnego. Ten lęk był większy, gdyż znalazłem się daleko od Ziemi. Znowu straciłem przytomność i miałem poczucie, że znajduję się w jakimś korytarzu czy tunelu i przeciskam przez szereg oślizgłych ciał; potem znalazłem się w swoim ciele fizycznym; chwila paraliżu – i odzyskanie świadomości. Takich doświadczeń więcej już nie miałem, natomiast wspominam o nich jako o doświadczeniach paranormalnych.

Ale wracamy do roku 1980. Jest to przedostatni już rok w związku w Małgosią – Nowalijką, jak ją nazywałem przez jej podobieństwo do Novalisa. Otóż w 1981 roku, jak wiadomo, został ogłoszony stan wojenny. Stan wojenny zapowiadany przez Roberta Waltera, który pomylił się tylko o tyle, że mówił o 20 grudnia, a nie o 13. Otóż w listopadzie tego roku Walter zmarł i nie dokończył książki, którą zaczął pisać; bezcenna dla nas pozycja. Nagłości jego śmierci nie będę komentował. W toku mojej znajomości z Robertem Walterem, w ciągu ostatnich 6 lat przed jego śmiercią, w ramach wspomnianych moich zapisków, noszących tytuł *Światłość i radość*, zapisywałem rozmowy z Walterem. Nie ma tego bardzo dużo, ale jest około 20 stron maszynopisu. Jest to jednak tekst, którego wartość nie liczy się ilością stron, a ciężarem gatunkowym. Nie będę przytaczał w tej chwili zawartych tam wypowiedzi Waltera – był on, jak już powiedziałem, bardzo wszechstronnym człowiekiem i dla osób, które nie mają do czynienia z ezoteryką, niekiedy są to wypowiedzi bardzo enigmatyczne i szokujące.

W 1982 roku, już po ustaniu stanu wojennego, zgłosił się do mnie antropozoficzny nauczyciel eurytmii z liceum Waldor-

fskiego w Rendsburgu w Niemczech północnych, Arfst Wagner, zresztą syn zapalczego wysiedleńca ze Śląska. Sam Arfst przez pewien czas (przez dobrych kilka lat) pełnił funkcję jakby swoistego „misjonarza” antropozofii w Polsce. Misjonarstwo to polegało głównie na pomocy



Arfst Wagner z Rendsburga, „apostoł” antropozofii w Polsce, lata 80-te; udzielam wywiadu pismu „Info 3”

książkowej, ale także materialnej w okresie stanu wojennego, kiedy przywoził do Polski szereg dóbr materialnych, żywność i ubrania. Były to oczywiście wyniki zbiorów. Arfst także pośredniczył w różnych formach działań antropozoficznych w Polsce. Później kilkakrotnie jeździłem z nim do Niemiec i cieszyłem się jego gością.

Drugie początki antropozofii w Polsce

Tu raz jeszcze cofniemy się w czasie. Trzeba wspomnieć, że począwszy od 1977, 1978 roku udało mi się zachęcić do antropozoficznych form życia doktora Ludomira Dudę, który z czasem stał się moim synem chrzestnym. Był to syn Edwarda Dudy, sekretarza Rady Państwa, sam działacz ZSP. Postanowiliśmy razem ni mniej, ni więcej tylko wprowadzić do Polski pewne z tych form. Przede wszystkim próbowaliśmy wprowadzić –



Mój chrzestny syn i przyjaciel – dr Ludomir Duda

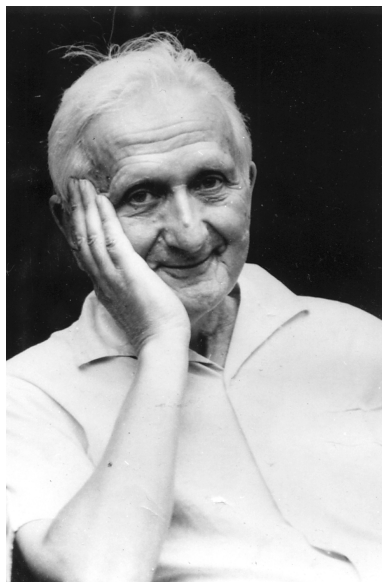
a pamiętajmy, że dla państwa rządzonego przez komunistów taki dział życia antropozoficznego był stosunkowo niegroźny – gospodarke dynamiczno-biologiczną, czyli rolnictwo. W tym celu w roku 1980 udalem się najpierw do

Anglii, potem do Szwajcarii. W Anglii byłem w Emerson College, który to ośrodek ma wszystkie formy życia antropozoficznego, ale tym, co mnie interesowało najbardziej, było spotkanie z profesorem Herbertem Köpfem, Niemcem, jednym z czołowych biodynamików na świecie. Po kilku latach udało się go sprowadzić do Polski; miał tutaj odczyty, był z nim wywiad w TV i w Radio, ale także spotkanie w Radzie Państwa z grupą przewodniczących komisji sejmowych ówczesnego Sejmu. Tak zatem na tym odcinku stworzyliśmy sobie życzliwą atmosferę. Po latach, po tym kiedy próbowaliśmy zorganizować taki ośrodek antropozoficzny podobny do Emerson College, oczywiście w mniejszej skali, inicjatywę przejął ówczesny docent Mieczysław Górny, gleboznawca z Akademii Rolniczej. Prowadził ją potem przez wiele lat. I o ile wiem, idea praktyki rolniczej dynamicznie się w Polsce realizuje w niejednej farmie. Kiedyś mowa była nawet o 150 takich gospodarstwach.

Drugą możliwością, jaka się nasunęła, była – również neutralna – eurytmia. Udało nam się w tym czasie – a pamiętajmy, że to była rzecz nieformalna, wówczas nie było Towarzystwa Antropozoficznego – posłać kilka osób do Niemiec do szkół eurytmicznych. Eurytmia formalnie przypomina rodzaj tańca, ale oczywiście jest w niej dużo więcej (istnieje bowiem eurytmia słowna i eurytmia muzyczna); jest to osobna sztuka stworzona przez Steinera i jego

żonę Marię Steiner. W sztuce tej określone gesty ciała ludzkiego odpowiadają określonym dźwiękom: samogłoskom, spółgłoskom lub tonom. Kilka z tych osób skończyło te szkoły, ale niestety, poza jedną czy dwiema, nie ma teraz w Polsce eurytmistów, czy eurytmistek (częściej bowiem są to kobiety). Jeden eurytmista (Czarek Ciągło) wyjechał do USA, natomiast niektóre eurytmistki Polki wyszły za jakichś Niemców i zostały w Niemczech. Paralelnie próbowaliśmy wprowadzić do Polski idee pedagogiki steinerowskiej, zwanej też waldorfską. Oczywiście była to dziedzina, w której wiodącą postacią od 1989 roku stała się prof. Maria Ziemska, wybitny pedagog warszawski, która dziś prowadzi potwarzany 2-letni kurs tej pedagogiki w Warszawie. Potem po 1989 roku powstały od razu trzy szkoły waldorfskie – w Bielsku, w Warszawie i w Olsztynie. Ta ostatnia została zamknięta i niedawno jakoby powstała na jej miejsce szkoła w Krakowie. To były nasze formy działania natury skromnej, nie powiem tajnej, ale dyskretnej.

Tu warto może wspomnieć jeszcze o dwóch rzeczach, o których wspomniałem, a które może warto rozwinąć. Jedna to sytuacja, która poniekąd dotyczy także mnie. Z katolicyzmem zerwałem już wiele lat temu, niemniej mieszkam przyjaźniół wśród kleru katolickiego. Taką bliską postacią był nieżyjący już ks. Bronisław Bozowski; cudowna postać, człowiek wielkiej erudycji, ogromnej dobroci, reprezentant chrześcijaństwa ponadwyznaniowego, chciałoby się powiedzieć. Bardzo serdeczny opiekun i przy-



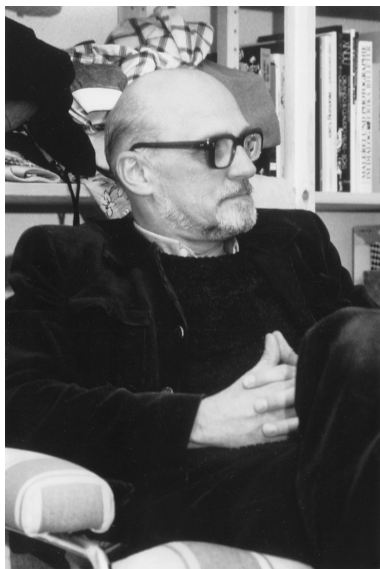
**X. Broniek Bozowski, katolicki święty
– i dlatego przyjaciel**



**Jako ojciec chrzestny
(Mirkowi i Tomkowi Dudom chrztu udziela
X. Bronisław Bozowski)**

cem chrzestnym w Kościele rzymskim, ale udałem się do człowieka tej klasy, tej rangi duchowej, co ks. Bozowski, przedstawiłem mu sprawę, a on powiedział, że nie widzi żadnych trudności: – Wypowiadasz się u mnie, przyjmiesz komunię, ja ci dam odpowiedni papierek i będziesz ojcem chrzestnym jak się patrzy – rzekł. I tak też się stało. Najzabawniejsze w tym wszystkim było to, że on był w innej parafii, a sprawy urzędnicze przebiegały w taki sposób, iż ja musiałem z papierkiem od nie-

jacieli młodzieży. Otóż to on pomagał mi w sprawie młodego malarza Waldzika B. – Pinocchia, którym przed laty się zajmowałem. W tym kontekście powstała następująca idea: mianowicie wspomniany już Mirek Duda – wskutek radykalnej zmiany światopoglądu i oczywiście po wystąpieniu z partii – postanowił wraz ze swoim czteroletnim synkiem Tomkiem wziąć chrzest w Kościele katolickim. I zażyczył sobie, żebym to ja został ich ojcem chrzestnym. Oczywiście jako heretyk, formalnie rzecz biorąc, nie mogłem być niczym oj-



Niemcy, lata 80-te

go pójść do jakiegoś innego księdza. Otóż Broniek wystawił mi taki papierek i zabawa polegała na tym, że dał mi zaświadczenie, które mam zresztą do dzisiaj, bo udało mi się je „zwinąć” na pamiątkę. Na tym papierku widniały słowa: „Niniejszym zaświadczam, iż pan Jerzy Prokopiuk jest dość dobrym chrześcijaninem”. Jestem chrestnym sześciorga dzieci, ale to było najzabawniejsze ojcostwo.

Wracając do naszej antropozoficznej działalności – to było w 1984, 1985, 1986 roku – jeździłem do Niemiec, gdzie głównie



Paryż, 1985

obracałem się w kręgach antropozoficznych po to, żeby ściągnąć do Polski doświadczonych antropozofów do pomocy dla naszej działalności antropozoficznej. Tu chciałbym najserdeczniej wspomnieć przede wszystkim panią Christę Waltjen, bardzo wybitną śpiewaczkę z antropozoficznej szkoły śpiewu. I spotkanie z nią jest może najpiękniejszym wspomnieniem z pobytów w Niemczech w sprawach antropozoficznych.

W tym czasie pozostawałem z moją ówczesną ukochaną – Beatą Kitą; byliśmy w Niemczech i we Francji. Z pobytu w Niemczech chcę opowiedzieć prześliczną historyjkę, aby ten opowiadany życiorys był przynajmniej trochę zabawniejszy. Mianowicie mieszkałem w Heidelbergu u Polaka, który nazywa się Władysław Bobrowski; był to tancerz z Opery Warszawskiej, ale jednocześnie studiował na UW filozofię. Pojechał do Niemiec i jako wybitny tancerz był pierwszym tancerzem Teatru Miejskiego w Heidelbergu, ale dalej studiował filozofię. Miał on matkę Wietnamkę, sam oczywiście mówił piękną polszczyzną, tak że kiedy

jadaliśmy obiad w stołówce uniwersyteckiej i mówiliśmy po polsku, to niejedyn Niemiec mógł sobie powiedzieć: dziwny ten wietnamski – jaki podobny do języków słowiańskich! Otóż właściwą pointą tej opowieści jest to, że Władek postanowił zrobić doktorat z filozofii – i pewnie już od tamtych czasów zrobił. Kiedy go zapytałem: „Po co ci to?” – odparł: „Wiesz, chciałbym, by na afiszu było napisane: dziś wieczorem tańczy *doktor Bobrowski*”.

W roku 1988 otrzymałem nagrodę Deutsches-Polen Institut w Darmstadt za mój dorobek przekładowy, wówczas już niemały. Tę nagrodę otrzymałem z rąk doktora Dedeciusa, weterana przekładu z języka polskiego na język niemiecki, bardzo wybitnego tłumacza. Przyjechał on do Warszawy, a attaché kulturalny ambasady RFN-u wydał małe przyjęcie na jego i moją cześć. Na tym przyjęciu był także ówczesny dyrektor departamentu książki Ministerstwa Kultury, Stanisław Piaścik – i oto doszło do następującej sytuacji: stoimy na tarasie, bo to było lato, każdy z jakimś napojem alkoholowym w ręku, ja stoję w grupie, gdzie jest dyrektor Piaścik i paru urzędników z jego departamentu, nieopodal zaś stoi dr Dedecius (jest to opowieść o moim niewyparzonym języku). W pewnym momencie pan Piaścik namaszczonym tonem informuje nas, że doktor Dedecius należy do rodziny Deciusów, która kiedyś otrzymała polski indygenat szlachecki. W tym momencie ja nie wytrzymuję i powiadam: Tak, to jest taka gałąź tej rodziny, która się jąka... Mam nadzieję, że doktor Dedecius tego nie usłyszał. Otóż pojechałem do Niemiec po odbiór nagrody. Ta wyprawa była poprzedzona wycieczką grupy polskich tłumaczy i wydawców po Niemczech południowych (m.in. Adama Krzemińskiego z „Polityki”); mieszkaliśmy w luksusowych hotelach, gdzie karmiono nas ponad miarę. Właśnie wtedy powstała także myśl – bo to Fundacja Boscha finansuje te nagrody – żeby dać mi stypendium. Otóż otrzymałem tę nagrodę, w Darmstacie się to odbywało, na „wzgórzu Matyldy” ze wspaniałą secesyjną architekturą.

Laudację wygłosił dr Dedecius, ja wygłosiłem odczyt pt. *Hermes jako patron tłumaczy*.

<Wtedy też poznałem Stanisława Ritelricza>.

Raut, wydany na moją cześć przez burmistrza Darmstadt, odbył się na zamku Frankenstein, tak że nawet do Polski przywoziłem komuś koszulkę z wydrukiem potwora Frankensteina. W rok potem dostałem nagrodę Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (na ironię jednocześnie z biskupem Romaniukiem), i to było jakby apogeum uznania dla mojej pracy przekładowej, chociaż ta praca trwa do dzisiaj (niedawno skończyłem przekład książki norweskiego autora Nilsa Kvestada, poświęconej *Zjawiskom paranormalnym w Biblii i w sagach staroskandynawskich*).

Wracając jeszcze do nieco wcześniejszych czasów, chcę wspomnieć o wydarzeniu, jakim była podróż do Berlina – w 1988 roku, gdzie na Kreuzbergu w kręgach trochę antropozoficznych, trochę „zielonych”, wygłosiłem odczyt o antropozofii w Polsce, po czym wróciłem do Polski, przenocowałem w Warszawie i pojechałem do Tarnobrzega na zaproszenie nieformalnego ruchu młodzieżowego (nie wiem, czy jeszcze istnieje) *Wolę być*. Był to ruch na ogół gromadzący nastolatków obojga płci, którzy mieli z reguły pochodzenie robotniczo-chłopskie. Niekoniecznie, ale na ogół, byli nastawieni tak proplebejsko, że jeżeli wsadałem do taksówki, to patrzyli na mnie z wyraźną dezaprobatą.

<Ich nieformalnym przywódcą był Eddie Pyrek, moją fascynacją: Szymon Ch.>.

Może były tam jakieś narkotyki na marginesach, ale raczej tego unikali; byli bardzo proekologiczni i robili bardzo często „zadymy” przeciwko trucicielom. Re-



**Z Szymonem Ch. w Wiedniu,
przełom lat 80-tych i 90-tych**

gułą było wśród nich, że każdy z nich miał swojego szczurka (ja to komentuję tak, że skoro komuniści zrobili z Polski śmietnik, to jakie można mieć inne domowe zwierzę na śmietniku, niż tylko szczura?). Zaprosili mnie do Tarnobrzegu, gdzie robili „zadymę” przeciwko zakładom siarkowym, żebym wygłosił im odczyt o pedagogice steinerowskiej. Przyjechałem tam, zameldowałem się w hotelu robotniczym i przyszedłem do budynku szkoły, w którym mieszkały dzieci z owego ruchu, około 200–300 osób. Gdy się tam pojawiłem, wyszedł naprzeciwko mnie długowłosy chłopiec z Białegostoku, z zawodu hydraulik, i zapytał: „Czy to pan zrobił numer gnostycki *Literatury na Świecie?*”. „Tak” – odpowiadam. „A więc chcemy z panem porozmawiać, gdyż jest tu sporo ludzi, którzy pragną zadać panu trochę pytań”. Tak więc jednego dnia miałem odczyt o pedagogice Steinera dla wszystkich tam obecnych, a drugiego dnia odczyt dla tej małej grupy. Szczerze mówiąc, była to właściwie konferencja prasowa, gdyż tak to można nazwać: było ich jakieś 30 osób, mniej więcej 14–18-letnich, zrobili mi chyba 3–4-godzinną nasiadówkę, wypytujac o wszystko, co się znalazło w „numerze gnostyckim” *Literatury na Świecie*. Otóż okazało się, że ci młodzi ludzie wnikliwie i pilnie przestudiowali ten numer. W trakcie odczytu padło między innymi pytanie, czy Szatan będzie zbawiony, ja zaś wygłosiłem przekonanie, że owszem, tak, zgodnie z twierdzeniem antropozofii i pewnych nurtów prawosławnych, chociażby nawiązujących do Orygenesusa. Całe posiedzenie miało też rozkoszną pointę, gdyż po odczycie podeszła do mnie pаниenka, może 16-letnia, z „irokezem” na głowie i powiedziała: Chciałam panu bardzo podziękować za to dobre słowo, które pan powiedział o Szatanie. Wtedy ja mówię: Pewnie jest pani satanistką, na co ona, oburzona, odpowiada: Skądże znowu, tylko, wie pan, mi go zawsze było żal...

Polskie Towarzystwo Antropozoficzne

Jesteśmy teraz w roku 1989 po wyborach, które odbyły się akurat w moje urodziny 5 czerwca. Pełna nadziei większość społeczeństwa głosowała za Solidarnością. Zaczyna się także ruch wśród polskich antropozofów. I tu dochodzimy do ciemnego punktu moich kontaktów z polskimi antropozofami. Mianowicie – cofnijmy się teraz do roku 1980 – kiedy to w Wolnej Wszechnicy Polskiej na zaproszenie miejscowej Solidarności miałem parogodzinny odczyt o antropozofii, pierwszy po wojnie publiczny odczyt o antropozofii. Po nim powstała grupa, licząca 30 osób, wśród których była bardzo wybitna postać w ezoteryce polskiej – Lucyna Winnicka, która potem związała się z rebirthingiem Leonarda Orra. Do grupy tej należeli także Adam Winiarczyk, Wojtek Szydłowski, jego żona Izabela, Paweł Kwiek, Renata Białoborska, Andrzej Bernaciak, Bogna Mackiewicz. Wtedy bardzo często starzy antropozofowie z jednej strony chwalili mnie, ale z drugiej strony wygłaszali także ostrzeżenia: Niech pan, na Boga, uważa, bo nas wszystkich aresztują! To oczywiście było lękiem na wyrost, bo wtedy PZPR miała większy kłopot z 9 milionami członków Solidarności, niż z 200 polskimi antropozofami.

Otóż w 1989 roku ci sami ludzie, kiedy już zapanowała wolność, zaczęli wreszcie organizować od nowa Polskie Towarzystwo Antropozoficzne. Zgromadzono szereg eminentnych



Na seminarium prof. Maurina
– Leszek Szkutnik i Antoni Kozłowski

antropozofów, jak prof. Ziemska, prof. Maurin, prof. Rudnicki z Krakowa, kilku młodych ludzi, i ja także zostałem zaproszony do Szwajcarii, do Goetheanum w Dornach, na koszt Międzynarodowego Towarzystwa Antropozoficznego. Po czym odbyło się wielkie spotkanie, na którym powstała pierwsza inicjatywa założenia Polskiego Towarzystwa Antropozoficznego. Idąc na to spotkanie (mieszkałem w innej miejscowości pod Dornach), spotkałem na organizatorkę tego spotkania, panią Lanikę, która powiedziała: „Dobrze, że pana spotykam wcześniej, chciałabym porozmawiać z panem; jest bowiem rzecz, której zupełnie nie rozumiem. Mianowicie pewni ludzie z tego kręgu, którzy teraz się tu spotkali, potrzebowali dużo, by dać się przekonać, aby razem z panem usiąść przy tym samym stole”. „A jakie podawali powody tej niechęci?” – zapytałem. A ona: „Wie pan, powody, które podawali, były tak głupie, tak dziwaczne, że po prostu ich nie przytoczę, bo się wstydzę”.

Wobec tego ja już na tej drodze podjąłem decyzję i podczas tego spotkania – pod obecność ostatniego (już nie żyje) prezesa Towarzystwa Antropozoficznego, Manfreda Schmidta-Brabanta – wstałem i zapytałem, czy doktor Steiner przewidział taką możliwość, że ktoś jest członkiem Międzynarodowego Towarzystwa, a nie jest członkiem krajowego. Na to Schmidt-Brabant odpowiedział: Doktor Steiner jako jasnowidz przewidział taką możliwość. Wtedy oświadczyłem, że wskutek zaistniałej sytuacji pozostanę członkiem Towarzystwa Międzynarodowego, a nie będę członkiem towarzystwa krajowego. Potem Towarzystwo to powstało, a ja działałam na prawach trochę *outsidera*, trochę „heretyka” antropozoficznego. Zresztą niech mi wolno powiedzieć tutaj parę słów na temat tego Towarzystwa. Ma ono wyraźnie charakter sekciarski, tzn. choć nie jest sektą, jednakże uprawia politykę trochę w stylu duchowego getta. Więcej na ten temat mówić nie musimy.